

# Przez granice, przez wieki

## Ze starego albumu

Kiedy przed kilku laty, zanim zaczęły się próby *Balladyny* w Teatrze Narodowym w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, odbywałem z nim rozmowy o tragedii nadgoplańskiej Słowackiego, które potem scalone w jednolity tekst wydrukowane zostały w programie teatralnym jako rodzaj komentarza-dyskusji praktyka sceny z historykiem literatury, przedstawiłem pewien problem z pogranicza polonistyki i reżyserii teatralnej.

Jak wiadomo, czytelnik dramatu wydanego w roku 1839 posiadał wówczas wszystkie otwierające go klucze historyczne, polityczne, filozoficzne, literackie i obyczajowe. Pytanie moje brzmiało następująco: czy istnieje możliwość ukazania na scenie prawdopodobnych intencji twórcy dzieła — pisanego dla współczesnego autorowi odbiorcy — w roku 1973, czyli w lat prawie 150 później, słowem — czy widz dzisiejszy mógłby zostać wciągnięty w rzecz sceniczną, która w teatrze rekonstruowałaaby przy pomocy wspomnianych tu „kluczy” epokę romantyczną z całym bogactwem jej dramatycznych konfliktów i napięć. Jako historyka literatury, który w taki właśnie sposób próbował objaśnić tekst *Balladyny*, pociągała mnie podobna próba praktyki scenicznej w odniesieniu do tego samego utworu.

Odpowiedź, jaką wówczas otrzymałem, była jednoznaczna: „...gdyby dziś zagrała *Balladynę* tak, jak została ona w 1834 r. napisana, a w roku 1839 wydana, to należałoby również ludzi tamtej epoki rekonstruować i jako widzów posadzić w fotelach na widowni, aby taki teatr nabral sensu. Ale wówczas mielibyśmy szacowne muzea po obu stronach rampy i koniecz-

na byłaby TV dla transmitowania owego wydarzenia”.

Przypomniała mi się dziwnym trafem (a może to nie był przypadek) tamta rozmowa niedawno, kiedy pracownicy jednego z regionalnych muzeów pomorskich pokazali mi starą pocztówkę ukazującą fragment Brodnicy, mojego rodzinnego miasta, wykonaną przed kilkudziesięciu laty. Ulica, którą na niej ukazano, kieruje się od prawej ku lewej stronie, nieco w górę. Wysoki na kamiennym fundamencie płot ceglany, biegnący wzdłuż chodnika, a znaczony krzyżami, stanowił w XIX w. granicę cmentarną. Do owego płotu przylega młodszy od niego budynek o dwuspadowym dachu — schronienie dla starców; za płotem, na terenie dawnego cmentarza, ogród czy park przynależny przytułkowi. Perspektywę po lewej stronie zamyka fragment bryły klasycystycznego kościoła ewangelickiego z 1831 r. Stoi on przy innej już ulicy, biegnącej prostopadle do tej, która wyobrażona jest na pocztówce. Na chodniku przy jezdni młode, bezlistne jeszcze lipy i drewniane słupy trakcji telefonicznej i elektrycznej. Jest przedwiosenny, słoneczny początek dnia, zaranie XX w.

Zabawiłem się w zgadywanke, według której na pozornie identycznych obrazkach tropi się różnice ukryte w przemysłnym gąszczu kreski i z ulgą kończy zabawę w chwili, gdy ilość zauważonych różnic pokryje się z cyfrą zapowiedzianą przez rysownika. Porównywałem i ja różnice między starą fotografią a współczesnym wyglądem ulicy Sw. Jakuba. Było ich wiele. Przede wszystkim miejsce, z którego fotografowano kiedyś ów zaułek

— środek jezdnii. Tylko z wielką trudnością dałoby się ujęcie sprzed lat powtórzyć, wymagałoby ono bowiem zatrzymania ruchu na ucześniejącym dziś trakcie. Chodnik ułożony starannie, zapewne wkrótce po 1900 r., ze znakomitych wówczas płyt ujętych w obustronne obramienia z kamienia polnego, ongiś był węższy. Teraz, znacznie poszerzony, lepiej pełni swą funkcję, ale cóż z tego, skoro jest nierówny, wyboisty, a nowe płytki chodnikowe, owoc fabrycznej, nierzemieślniczej produkcji, pękają przy lada okazji. Jezdnia, dziś kryta asfaltem, wtedy brukowana okrągłakami, miała tę zaletę, że po ulewie nie tworzyły się kałuże. Z lip ulicznych, wówczas liczniejszych, dochowały się trzy. Młode przed laty pnie zmęzniały w obwodzie, ale korony — pożał się Boże: nieumiejętnie przycinane wiosną sprawiają wrażenie niewielkich zielonych czapeczek na roślach, nieproporcjonalnych do ich wielkości podstawach. Energia pracujących korzeni i pnia wyładowuje się w liściach dochodzących do monstrualnych rozmiarów. Mur okalający teren ogrodowy domu starców, a i sam ów budynek, poddane niszczącemu działaniu czasu, spękane i podupadłe z latami, służą teraz innemu celowi: mieści się tu szkoła podstawowa i boisko szkolne.

Wyliczenie zauważonych zmian zapewne nie jest pełne, choć wystarczające do pobieżnej rejestracji.

Ale różnica najistotniejsza, uderzająca, tkwi w czymś zupełnie innym, nie w cechach materialnych ukazanego na fotografii krajobrazu. Tkwi mianowicie w atmosferze pustej ulicy małego miasteczka, w spokoju i w ciszy bijących z każdego jej fragmentu, w innej wartości leniwie przepływającego czasu, w zwolnionym rytmie słonecznego ranka.

Próbowałem rekonstruować ów klimat, koloryt i smak odległej epoki wychodząc na ulicę Św. Jakuba rankiem, ale burzyły go hałaśliwe rybitwy, zadomowione w mieście i nad pobliską rzeką od kilkunastu lat. W południe toczył się sznur pojazdów, między które od czasu do czasu wpadała zza szkolnego parkanu piłka

kopnięta zbyt silnie w czasie pauzy międzylekcyjnej. Wieczorem dolatywały z okien domów dźwięki muzyki odtwarzanej z taśm, z płyt, wiadomości radiowe, strzępy seriali, filmów i przedstawień telewizyjnych. Niema fotografia wyraża ciszę, której zabrakło w obrazie rzeczywistym. Ulica stała się teatrem tętniącym gwarem, ruchem, pospiesznym rytmem.

Uporczywie szukałem czasu utrwalonego na kliszy, który — jak mi się zdawało — był czasem przeszłym niedokonanym. Dlaczego to robiłem? Czy pociągał mnie urok dawności? Czy może wróciły dziecinne marzenia o wehikule czasu? Owa próba spaceru przez stulecie była jakimś imperatywem zmysłów i głodem wyobraźni. Porównywałem rzeczywistość z zasobami pamięci, z usypiskami wspomnień, z zasłyszonymi opowieściami. Okazało się wszakże, że zaledwie rzeczywistość materialną dałoby się zrekonstruować i że tylko ona sprowadza się do kwestii kosztów. Uświadomiłem sobie w końcu, że szukałem czegoś innego, rzeczy, której nie ma już na rynku i której nie można odbudować. Nie da się powtórzyć tego, co niematerialne. Dwie klisze nałożone na siebie, jedna — z początku wieku, i druga — z ostatniej jego ćwierci, okazały się nieprzystające do siebie.

Zachwyliła mnie i ujęła pocztówka ze starego albumu. Mogę ją przezfotografować i zachować jako rzecz cenną, jako świadka czy jako dokument. Tak też zapewne zrobię. Ale coraz rzadziej będę po nią sięgał. Brzmi bowiem jak fałszywy ton w akordzie, jest jak miłość bez wzajemności. To czego szukałem, już nie istnieje. Minęło we mnie, minęło w nas.

### Przygranicze

W kwietniu 1969 r. Kazimierz Wyka, ofiarowując mi jedną ze swoich książek, napisał, abym przyjął wraz z nią „słowa serdecznej pamięci z przygranicznej linii Krzeszowice—Brodnica, a w środku — Cesarstwo Polonistów”. Nawiązywał w ten sposób do wcześniejszych naszych rozmów, które zresztą i później nieraz się toczyły i w których każdy mówił o „swoim” re-

gionie: Wyka — o Trójkącie Trzech Cesarzy nad Przemszą, ja — o północy, o granicznej linii na trasie Świedziebnia—Gorczenica, dzielącej zabory pruski i rosyjski koło Bródnicy nad Drwęcą. Melancholijne te rozmowy przynosiły zawsze jakieś plony. Komunikowaliśmy sobie wzajemnie nowinki sprzed lat ponad stu, dorzucaliśmy do faktów odnotowanych przez historię również takie, które nie były znane powszechnie lub były zgoła nieznane zupełnie. Interesowało nas przygranicze nie tyle jako ewenement polityczny, ale raczej kulturowy, socjologiczny, społeczny.

W przygraniczu bowiem zawsze się coś ciekawego działo. Może również dlatego, że nacisk administracyjny czy polityczny władz zaborczych bywał w tych miejscach jak gdyby nie tak dotkliwy, lżejszy. Wędrowali wszak ludzie w tę i ową stronę, znali się strażnicy granic, trwała wymiana dóbr niejednakowo obfitych po obu stronach, dzieci nie miały zrozumienia dla podziałów ustanowionych przez dorosłych, młodzież „cudzoziemska” zasilala szkoły pruskie, a centra politycznej władzy były od przygranicza oddalone. Strumień, rzeczka, lasek czy miedza wśród pola nie wydawały się kategorycznie sankcjonować granicy imperiów.

W tym samym 1969 r. ciekawie i mądrze o „moim” przygraniczu nad Drwęcą, na marginesie swoich znakomitych prac wydawanych w serii *Katalogu Zabytków Sztuki*, pisał Tadeusz Chrzanowski jako o „trójkącie historii naszego kraju, który miał się stać niejako kluczem do nowożytnych dziejów Polski. Ale i tu — podobnie jak pod Szczakową na południu — wymiary tych działań wodnych przeszłości dziwnie mizerne i niegroźne”.

Pisałem i ja przed laty o prusko-rosyjskim przygraniczu i starałem się wskazać, jak głęboko ongi, czy nawet nie tak dawno, kreśliły się mimo wszystko, zwłaszcza może w psychice ludzkiej, podziały na pruską i rosyjską stronę. Dziś te odrębności, które z takim zapamiętaniem tropią badacze przeszłości, miłośnicy regionów, coraz mniej są widoczne. Ruch ludności, zmieniające się podziały administracyjne, podnoszenie poziomu cywilizacyjnego, wspólny dla „obu stron” wzorzec

kultury, pospołu odczuwane troski i sukcesy etc., etc., sprzyjają wyrównywaniu odcieni, zacieraniu różnic, zmniejszaniu napięć, a jeśli i dziś jeszcze mówi się o niegdyś tu biegnącej granicy, to zaświadcza ją właściwie tylko niektóre elementy kultury materialnej i obyczaju, wiekowe zabytki (te chyba najsilniej), coraz rzadsze lokalne zjawiska językowe, odzywające się niekiedy, zwłaszcza u starszych, cechy charakteru, odziedziczony po przodkach pejzaż człowieka, wreszcie — pewne dostrzegalne, ale wymagające zarazem natężenia uwagi elementy kształtowanego ludzką ręką najszerzej pojętego krajobrazu, na który składają się skupiska domostw, resztki starych wiejskich zabudowań, rodzaj zalesienia, przydrożne drzewa, ingerencje cywilizacyjne w sprawy natury itp.

Za lat kilkadziesiąt już tylko historia tych ziem i słowo drukowane, milcząca świadek, przypomną, że niegdyś biegła tu z woli mocarstw europejskich granica polityczna i że z podziałem kraju, którego państwowość unieczestwiono, chciano zarazem społeczność ludzką podzielić ostatecznie na dwa światy, a słupy graniczne wbić w serce i umysł człowieka. Na nic nie zdały się jednak te zabiegi w końcowym rachunku. Kładek i mostów łączących obie krainy na dobrą sprawę nigdy nie zniszczono. Od dawna są to szerokie gościńce, które spajają ogniwa jednego łańcucha. A że łańcuch jest różnorodny, z rozmaitego kruszcu złożony — to świadczy o bogatym zróżnicowaniu tych ziem, starszym niż polityczna wola władców. W październiku 1831 r., co godzi się przypomnieć po rocznicy listopadowego powstania, na linii Świedziebnia—Gorczenica pod Brodnicą „wojska polskie pod wodzą Rybińskiego do Prus wkroczyły”. Pisali o tym dramatycznym epilogu powstańczym poeci, pamiętnikarze, politycy, historycy. Pisał również ostatni dowódca słynnego pułku czwartego piechoty liniowej Józef Świącicki w swoich wspomnieniach, wydanych przez Roberta Bieleckiego z paryskiego autografu w PIW-owskiej serii *Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych*:

„...ogłoszono całemu wojsku (...), że cały

korpus bez żadnego wyjątku wchodzi do Prus, a to celem umiesienia honoru narodowego. (...) gdy już cały korpus przeszedł, a ciągle dając ognia z dział do nieprzyjaciela atakującego i złożył broń, pomaszerowaliśmy razem do Strasburga, czyli Brodnicy, dwie mile od tego miejsca. A przybywszy, stanęliśmy obozem pod samym tym miastem, gdzie po pierwszy raz spokojnie i rozebrani noc całą spali. A warty oficcerska i podoficerska wojska pruskiego dokoła nas pilnowały, z wysunięciem sztydwachów naokoło obozu”.

Przejście resztek wojsk powstańczych przez przygranicze obudziło zapewne wśród miejscowej ludności nadzieje na przyszyły powrót tych ludzi i znaków. Niewola trwać miała jednak jeszcze lat ponad osiemdziesiąt. Odcisnęła się ona na ziemi, na instytucjach, na ludziach. Dziś, po obu stronach rzeczek i strumieni, pamięć o tamtych latach i podziałach należy uczynić skarbnicą pamiątek, są one bowiem bogactwem dziejów i źródłem do przemyśleń, wybiegających poza granice owego trójkątnego skrawka Polski nad Drwęcą.

### Moja mała ojczyzna językowa

Otoczony sławą surowego egzaminatora Tadeusz Sinko nie nęcił nigdy studentów krakowskiej polonistyki. I kiedy przychodziła pora wyboru literatury obcej, którą należało obrać za przedmiot egzaminu, sięgano zwykle po literaturę francuską, włoską czy hiszpańską jako rzekomo łatwiejsze, ale nie po grecką i rzymską. W dodatku panie, zawsze liczniejsze na filologiach, miały podobno u Sinki jeszcze mniej szans na sukces niż panowie. Tak w każdym razie niosła wieść.

Pomyślałem, że mógłbym spróbować wejść do jaskini lwa. Profesor egzaminował bowiem za moich krakowskich lat w domu, i stawić czoła przeciwnościom. Pociągało mnie może również niejasne przeczucie grożącego nieszczęścia i pokusa usłyszenia owego wyroku, który śmiałka skazywał na opuszczenie domu i którego wyjściu towarzyszyć miały jakoby deklaracje o profanacji świętego przybytku nauki.

Po kilku tygodniach czytania tekstów i podręczników poszedłem zatem z duszą na ramieniu, ale i z determinacją, która wprowadzie wiedzy nie poszerza, ale studentowi dodaje animuszu i pewności siebie, niekiedy zbawiennej w opresjach. Zaczęło się nieźle — pytania dotyczące Rzymian były nietrudne, odpowiedzi przyjęto życzliwie, lecz bez wylewności. Pomyślałem — czeka mnie jeszcze *Iliada* i *Odyseja*. Tak się też i stało. Padło pytanie o owego brzydala Homerowego, klótnika i bezczelnego intryganta, zabitego przez Achillesa, gdy wykpił jego żal po śmierci Penteszilei. Wiedziałem o nim nie tak znowu mało, ale imię uleciało z pamięci. Profesor życzliwie podpowiadał: — Te... Ter..., dodałem: — ...sytes, i mogłem zacząć spokojnie. Wnet okazało się, że to jeszcze nie koniec egzaminu. — Czy znam jakie nowożytnie epepeje, na przykład polskie? — W tym momencie przestałem się bać zupełnie. Z ulgą i radością zacząłem na luzie:

*Druhe, chyże le nadstawta bliżyż wasze usze,*

*Bo jo wama pełną ksążkę zaro natgać muszę.*

*Nie wiem, jak na łgorscie mesle ze łba sę wewiją,*

*Ale wama o Czorlińscim zelę hystoryją...*

— To pan zna Derdowskiego? — przerwał ucieszony Profesor. — Musi pan być zatem z seminarium Nitscha. — W dalszej rozmowie, bo to już była rozmowa, a nie egzamin, rzecz toczyła się przede wszystkim o owej epepei kaszubskiego poety ze wsi Wiele *O panu Czorlińscim*, co do *Pucka po sece jachot* i w ogóle o Kaszubach, Kociewiu, Lubawie, Ziemi Michałowskiej, Brodnicy, słowem — o Prusach Zachodnich, dialektcie, regionalizmach, o mojej małej ojczyźnie.

O Nitschu Sinko natracił nie bez powodu. Wielki, wspaniały Nitsch. Lubiliśmy go, ba — kochaliśmy go wszyscy (lub prawie wszyscy). Cóż to jednak była za miłość, niepewna wzajemności, w której respekt, podziw i strach mieszały się z przywiązaniem. Pochodziłem z ciekawego językowego regionu, więc mogłem liczyć na jaką taką pobłażliwość czy choćby tolerancję. Bywało, że i na więcej.

Szukał Profesor w mojej wymowie różnicy między *u* i *ó*, opowiadał na seminariach o swoich wędrówkach po 1900 r. po Kaszubach i Prusach, pamiętał Lubawę, jakby wczoraj tam przebywał, o Brodnicy mówił, że zastanawiała go wówczas popularność, wśród rzemieślników, imienia Alfons, wymieniał nawet — po kilkudziesięciu latach — nazwiska osób, które to imię wypisywały na szyldach firmowych. Nade wszystko snuł jednak pasjonujące gawędy o gwarach, historii języka, dziejach regionów i o granicach, przez które — niczym kontrabanda — przenikały zjawiska językowe.

Gdybym to ja wiedział wówczas więcej o życiu literackim, księgarskim i wydawniczym Pomorza, zwłaszcza Brodnicy, w 1 poł. XIX w., o jego polskich oficynach drukarskich, choć prowadzonych głównie przez Niemców, o poecie, działaczu społecznym i polityku Ignacym Łyskowskim, o proboszczu brodnickim i kanoniku chełmińskim Mateuszu Osmańskim, tłumaczku dziełek dla młodzieży i autorze dydaktycznych opowieści, Aleksandrze Dąbrowskim, ks. Mateuszu Truszczyńskim, Franciszku Zagórowskim, Janie Borowskim, ks. A. Pokojkim i innych, autorach wierszy, poematów, powiastek o tendencji może grubej, lecz przecież szlachetnej, i artystycznym wyrazie często lada jakim i nieporadnym, wszakże nasyconym regionalizmami fonetyki, refleksji, składni — byłbym dla Profesora zapewne partnerem do rozmowy, a nie słuchaczem tylko.

A jeśli do tego, co tu powiedziano o regionie, dodać jeszcze pogłosy językowe Kaszub, Kociewia i Lubawy, żywe na Ziemi Michałowskiej, germanizmy oswojone w mowie potocznej i pisanej, łamańce i obroty stylu prowincji, wówczas ułoży się z owych elementów zapewne nie arcydzieło, lecz obrazek wdzięczny, żywy i barwny, powstanie instrument nie zawsze dobrze nastrojony i o niezbyt czystej tonacji, ale wielostrunny, wielogłosowy.

I w tym miejscu pora przytoczyć słowa przypomniane mi w niedawnej rozmowie: — My mawa, my dawa, my powiat Lubawa, i zapytać zarazem, jak to przed kilku laty zrobiło jedno z literackich pism

wżartobliwej rubryczce: — Co jest zaś ale krucafiksz z ta nasza Muttersprache? Właśnie — co jest zaś ale?

Zatracamy bogactwo odrębności, nosimy podobne jednolite umundurowanie językowe, wyzbywamy się indywidualnych cech, wręcz wstydzimy ich, boimy się pomówienia o dziwactwo języka i stylu, tępiemy regionalizmy. Szum mowy, gdyby go zarejestrować na taśmie, byłby zapisem o niewielkiej amplitudzie wahań. W zaledwie gładkiej przeciętności toną wyspy, oazy, wzniesienia. Niebawem na nasze pytania odpowiadać będą komputery. Zakodowanie w nich zespołu potrzebnych informacji nie będzie trudne. Odpowiedzi otrzymają ci wszyscy, którzy zgodzili się na zapomnienie słów piosenki: — Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja dolina...

## Cienie

Ta księga służyła przez 93 lata. W starej, zniszczonej, płóciennej oprawie znajduje się 929 stron, zapisanych atramentem przez różne pióra i ręce. Nowszego pochodzenia nalepka, jak na kajecie, informuje, że jest to „Rejestr uczniów 1873—1966” gimnazjum brodnickiego. Pierwszy zapis znaczy początek historii szkolnej zaczętej 110 lat temu, a pierwszym uczniem wtedy właśnie na naukę zapisanym był urodzony w 1862 r. Wiktor Weber z nieodległej od Brodnicy Gorzeniczki. W nowo utworzonym gimnazjum matury zaczęto w roku 1876, ale abiturientów było wówczas zaledwie siedmiu. Księga uratowana przez woźnego szkoły z pożogi ostatniej wojny przechowała czas stuletni. Ostatniego zapisu dokonano w niej w 1966 r. pod numerem 5882.

Pora tu na mały nawias historyczny. Gimnazjum powołały do życia władze pruskie, a mianowicie minister oświaty Adalbert Falk, opierając się na reskrypcie królewskim z maja 1872 r. Miało to być gimnazjum dla młodzieży męskiej różnych wyznań z niemieckim językiem wykładowym. Na nic zdały się protesty posła Ziemi Michałowskiej Ignacego Łyskowskiego w sejmie pruskim, który nadanie niemieckiego charakteru nowo powstałej

szkole uznał za krzywdzące dla ludności polskiej.

Pierwsze ćwierćwiecze szkoły można nazwać nabieraniem rozpędu. Zrazu przeważali liczbowo miejscowi, z czasem nastąpiło ich zrównanie z przybyszami, w końcu zdominowali oni brodniczani. Zapisywali się na naukę również „cudzoziemcy” — jak nazywano młodzież przybywającą z pobliskiego zaboru rosyjskiego — od jednego do ośmiu rocznie. Do roku 1898 obliczono 211 maturzystów: 107 ewangelików, 78 katolików, 26 żydów. Brodnicka szkoła widać dobrze przygotowywała do dalszej nauki, skoro 64 z nich studiowało teologię, 56 — prawo, 50 — medycynę, 6 — filologię.

Szkoła obchodziła rozmaite uroczystości i święta. Nade wszystko urodziny członków rodziny cesarskiej, Bismarcka, Moltkego. Ale nie tylko. Na przykład 10 listopada 1883 r. świętowano 400-lecie Marcina Lutera, 23 września 1891 r. 100-lecie Karola Teodora Körnera, poety i dramaturga, który zginął walcząc przeciw Napoleonowi, 28 marca 1892 r. 300-lecie Jana Amosa Komenskigo, wielkiego pedagoga Czech i całej Europy.

Mijały lata, a wraz z nimi rosła liczba polskich uczniów w szkole brodnickiej. W roku 1879 Łyskowski uzyskał zgodę ministra oświaty na fakultatywne nauczanie języka polskiego. Organizatorem i egzekutorem owych zajęć był w Brodnicy Antoni Chudziński, w latach 1878—1901 nauczyciel gimnazjalny, miłośnik i znawca języka i literatury ojczystej. Czytano i cmawiano w trzech grupach uczniowskich m. in. dzieła Słowackiego i Mickiewicza, uczono poetyki, odbywano ćwiczenia ortograficzne. Lekcje te zostały zawieszane w roku 1901, kiedy na Pomorzu odkryto tajną organizację filomacką, a jej członków postawiono przed sądem w Toruniu. Z brodnickiej organizacji mającej za patrona Tomasza Zana (działającej tu już od 1873 r.) sądzono 19 osób, z których 16 skazano na nagane, areszt lub więzienie, 3 natomiast od „winy” uwolniono. Uczniów gimnazjum skazanych w procesie toruńskim relegowano, oczywiście, ze szkoły. Nie trzeba tu dodawać, że na zajęciach filomackich lekcje języka

polskiego i literatury, prowadzone w gimnazjum przez Chudzińskiego, zarazem opiekuna owej tajnej organizacji, znalazły swoje naturalne i dobitniejsze jeszcze przedłużenie. Tak więc w pruskiej szkole dojrzewało pokolenie tych, którzy wraz z młodszymi od siebie za kilkanaście lat stanęli do pracy w niepodległym już państwie.

W szkolnej księdze gimnazjalnej sekretarz wypełniał następujące rubryki dotyczące uczniów: liczba porządkowa, nazwisko, zawód ojca, miejsce urodzenia, data urodzenia, wyznanie, poprzednio pobierane nauki, data przyjęcia, przyjęto do klasy, uwagi. Wszystkie one stanowią zbiór wiedzy o dziejach szkoły i regionu, ale nieocenionym wprost źródłem wiadomości jest rubryka ostatnia. Prześledzić w niej można szczegóły historii zaborów i wojen, dramaty rodzinne, wspomnianą wyżej niesubordynację wobec władz zaborcy, tragedie osobiste, dalszy tok nauki etc. Polegli we wszystkich wojnach na wszystkich frontach doczekali się tu trwalszej niż w ludzkiej pamięci adnotacji, a lista wychowanków poległych i pomordowanych w latach 1939—1945 sięga liczby 85! Historycy, socjologowie, pedagodzy, psychologowie, badacze dziejów Ziemi Michałowskiej mogliby, w większym niż dotąd stopniu czerpiąc z księgi szkolnej, napisać wiele rozpraw o trwałej wartości.

Wśród uczniów gimnazjum brodnickiego byli tacy, co przekroczyli granice miasta, powiatu czy regionu i świecili niekiedy blaskiem ogarniającym cały kraj. Ich cienie nachodzą nas uporczywie. Przelotne ptaki wysokiego lotu — przewinęli się tylko przez szkołę, a potem żyli z dala od starego gmachu gimnazjalnego. Andrzej Niemojewski, autor m. in. cyklu *Polonia irredenta*, stąd właśnie w 1880 r. wyjechał do Krakowa. Ksiądz Józef Roskwitalski, profesor i rektor seminarium pelplińskiego, wybitny pedagog, rozstrzelany w 1939 r., Józef Antoni Wybicki, lekarz, działacz niepodległościowy w Gdańsku i na Kaszubach, pomorski starosta krajowy i minister b. dzielnicy polskiej — kto o nim dziś pamięta. Artur Maria Swinarski nie żyje od lat osiemnastu.

Ksiądz Jan Manthey przed laty w Papieskim Instytucie Archeologii Chrześcijańskiej zaświadczył mocno swoją obecność jako znawca przedmiotu. Zdzisław Jastrzębski, polonista, nadzieja humanistyki polskiej — i jego zabrakło wśród żywych. Rachmiel Ela Rajfenaisen zginął w powstaniu getta warszawskiego. Jerzy Kornacki, powieściopisarz, współzałożyciel grupy literackiej „Przedmieście”, odszedł od nas w roku 1981.

Inni, lokalne gwiazdy, działacze w ostatnich latach zaboru oraz świadkowie i współtwórcy odbudowanej niepodległości na tych terenach — lekarze, pedagodzy, dziennikarze, duchowni, wojskowi, administratorzy — pozostawili po sobie trud życia do dziś owocujący. Wielu z nich nie odeszło daleko, wielu wróciło w rodzinne strony ukończywszy nauki. Jednak wojna rozproszyła ich mogiły po Polsce i świecie. Przypomina ich sprawiedliwa dla wszystkich księga szkolna, nie pozwalając wycichnąć echu przeszłości. Trzeba do niej zaglądać i trzeba zarazem przypatrywać się jej dalszym kartom, również ostatnim. Po latach badacze sięgną do niej ponownie i z zapisów zanotowanych w dziesięciu rubrykach odczytywać będą historię kraju. Tego kraju — ziemi zapoznanej w ogólnonarodowych dziejach.

## Przez granice, przez wieki

Przekraczałem tę granicę wiele razy. Częściej odbywając podróż między dawnym domem a nowym miejscem zamieszkania. Czasem jednak również bez koniecznej potrzeby, aby — zrobiwszy niewielkie koło — wrócić do rodzinnego miasta nad Drwęcą, do Brodnicy. W tym drugim przypadku nie podróżowałem nigdy samotnie. Odbywałem tę drogę zwykle z równolatkami, dla których odrębności regionalne czy ubogacające wiedzę i kulturę zjawiska dzielnicowe były zrozumiałe, oczywiste i pożądane.

Tym razem towarzyszył mi człowiek znacznie młodszy ode mnie, z innego niż ja terenu, dla którego pojęcia dzielnic, regionu, pogłosy zaborców, nie zatarte ze wszystkim granice były chyba w znacznej mierze podręcznikową abstrakcją

z dodatkiem własnego — delikatnie wprawdzie ujawnianego — przekonania, o jak gdyby nieco nagannym moim kulcie dla różnic w chwili, gdy wszystko zmierza do jednolitości, do wyrównywania poziomów, do ustalania jednego punktu odniesienia.

Do Golubia jedzie się z Brodnicy dobrą szosą wśród lasów, głównie sosnowych, rozległych tu i bogatych w podszycie, nieco ponad 20 km. W miarę upływu drogi pagórki stają się coraz wyższe, a tuż przed wjazdem do miasteczka nad Drwęcą na wysokiej skarpie nadrzecznej ukazuje się sylwetka zamku, niegdyś siedziby Anny Wazówny, królowny szwedzkiej, starościanki brodnickiej i golubskiej, siostry Zygmunta III. Dziedzictwo piętnastowieczne, pokrzyżackie, przebudowane w okresie późnego renesansu (wówczas uzupełnione attyką) góruje nad wzgórzem, miastem, okolicą i przypomina Francję. Widok stąd najpiękniejszy w świecie — w dole dwa miasta przedzielone graniczną rzeczką, czerwone i białe: stary średniowieczny Golub, cały z cegły gotyckiej (czy pruskiej), poważny, harmonijny, zwarcie rozplanowany — i biały (od tynków) Dobrzyń, niegdyś za kordonem leżący praprawnuk Golubia, bez dostojęstwa, antenatów i przeszłości, którą mógłby się legitymować, chaotyczny, ale szczęśliwy, że zrosił się ze świetnym przodkiem.

Kiedy krąży się po golubskim dziedzińcu zamkowym i ogląda komnaty, przypomina się wspaniały, niezwykle grobowiec-mauzoleum uczonej Anny w niedalekim kościele NMP w Toruniu, dla której, jako protestantki, nie było miejsca na Wawelu, i świetny jej portret z pierwszej ćwierci XVII w. w dalekiej Warszawie, pozbawiony nadmiernej usługowości malarzskiego dworactwa i dlatego może żywy dziś jeszcze — podobizna osoby, a nie monument heraldyczny. W zamku jeszcze rzut oka na krzyże konsekracyjne odkryte w dawnej kaplicy świętokrzyskiej, na herb Świnka, resztki malowideł ściennych i sgraffito na krążanku dziedzińca oraz — już przed zamkiem — na odległy i zalesiony horyzont krain przylegających do obu miasteczek.

Z rynku golubskiego, gdzie zachowała się w niezłym stanie podcieniona chałupka z XVIII w., blisko już do fary, do której warto wejść na dłużej, szeroko otworzywszy oczy. Arcybogaty łuk tęczy, na którym pod krucyfiksem trzy Niewiasty, czterech Ewangelistów, festony kwiatowe, a całość wsparta na konsolach podtrzymywanych przez anioły. Jakby nie dość było tej profuzji (ale smacznej) brył i kolorów, jeszcze dwie naprzeciw siebie umieszczone chrzcielnice w ramionach aniołów. Na trzonach dziesięciu kolumn manierystycznego ołtarza głównego z XVII w. niezwykle element rzeźbiarski: dziesięć aniołków muzykujących na instrumentach, jakie dziś tu i ówdzie trafiają się w muzeach — wspaniała milcząca orkiestra sprzed wieków. Wstrząsająca Pieta z XV w. ubrana jest w znacznie późniejszą, bogatą, ale teatralną sukienkę, która ma dodać splendoru postaciom i złagodzić cierpienie Matki oplakującej Syna. Wiele by jeszcze pisać o obrazach, o grupach pasyjnych, o tabernakulum, o małym chórze muzycznym i prospekcie organowym z XVII w. w bocznej kaplicy, ale spieszo mi do polichromii z XV w., we wnęce nawy, przedstawiającej scenę w Ogrójcu. Temat malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, poetów. Cierpienie, groza, strach przed tym, co nadchodzi, i owo pytanie: czy to konieczne, czy jest jeszcze nadzieja? Polichromia nie została ukończona, zachował się wyłącznie rysunek, miejscami nieporadny, prymitywny, gdzie indziej mistrzowski. Jeden jednak fragment został przez artystę ukończony: kolorowy Bóg Ojciec na obłoku. Stary smutny człowiek patrzy z troską na Syna, wszak zna jego przyszłość, stąd żal i współodczuwanie w niedoli, od której nie ma odwrotu, bo obietnica została już dana. Modlącemu się Chrystusowi anioł usłużnie podaje kielich, z którego wystaje krzyż. Spięta w grymasie bólu i jakby zdziwienia twarz, ręce złożone do modlitwy, ale niespokojne, bo długie palce wygięte nerwowo, gwałtownie, nienaturalnie, przypominają o manieryzmie, będąc jak gdyby jego zapowiedzią. Piotrowi, Jakubowi i Janowi wolno opadają powieki, „albowiem oczy ich były obciążone”. Gdy

długo patrzeć robi się sennie. Jakiś obcy człowiek podgląda tę scenę przez dziurę w drewnianym parkanie ogrodu w Getsemani. Przedziwna postać, jak gdyby linoskoczek w cyrkowym ubraniu, wykonuje akrobacje gimnastyczne. Obraz jest symultaniczny, ukazuje rozmaite plany czasowe: Judasz dopiero co zdradził i idzie z pełnym trzosem, a tymczasem po przeciwnej stronie zawisł na drzewie; przy murach Jerozolimy — Golgota, już z trzema krzyżami, choć obok, w Ogrójcu, Chrystus jeszcze żyje i drży z lęku; wojska, straż, konie, kapłani. Przedziwna kompozycja, może i lepiej, że nie ukończona. Arcydzieło?

A teraz, z Golubia, „do Polski”, jak mawiali urodzeni pod pruskim panowaniem Pomorzanie, przez most na Drwęcy, dawnej granicy zaborów, przez ospały Dobrzyń — skok już tylko do Szafarni, gdzie Chopin spędzał beztroskie wakacje w 1824 i 1825 r.

\* \* \*

„W sobotę było wiele gości w Szafarni, pan Podowski, pan Sumiński, państwo Piwniccy, pan szambelan Piwnicki, pani Borzewska, brat pani Dziewanowskiej, pan Wybraniecki z Białobłockim... Dnia 15 sierpnia r.b. na zgromadzeniu muzycznym w Szafarni złożonym z kilkunastu osób i półosóbek, popisywał się J.P. Pichon (tj. Chopin), grał koncert Kalkbrennera... w Obrowie było okężne. Cała wieś zgromadzona przed dworem szczerze się weseliła, szczególnie po wódce, a dziewczyny piskliwym semitonizno-fałszywym wyspiewywały głosem: Przede dworem kaczki w błocie, nasza pani w samym zlocie...” — Tak pisał Chopin prawie 160 lat temu w Szafarni Dziewanowskich.

A jaka jest dzisiaj Szafarnia? Nowy, zbudowany w drugiej połowie XIX w. dość marny pałacyk, wsparty zapewne na resztkach dawnego dworu, zrujnowany, nadpalony w 1979 r. i czekający niecierpliwie na pomoc zapowiadaną od dawna. Cicho, leniwie, pusto. Żadne poruszenia nie mać gestej rzęsy na sztucznym stawie i w kanałach, pamiętających tamte lata. W sadzie dojrzewają owoce, ale nikt ich nie zrywa, na gazonie przy podejździe

kwitną różę — dla nikogo. Mówi się o pamięci drzew. Czy ją naprawdę mają? Niektóre dęby czy lipy były dorodne już wówczas, kiedy Chopin tu właśnie (i może jeszcze w Sannikach na Mazowszu) zetknął się z autentyczną muzyką ludu, której później nie miał nigdy okazji słuchać. Zaniedbanie i zapomnienie tam, gdzie winno tętnić życie. Uciekliśmy na bezpieczną odległość od pamięci, bo ona żąda wysiłku, pobudzając aktywność jest wrogiem bierności. Daremnie opiekunowie tego zakątka, Barbara i Henryk Górecky, wyglądają cudu. Podsuwają księgi pamiątkowe, oczekują przywożonych im publikacji o Chopinie. Komu jednak przekazać wiedzę i umiłowanie przedmiotu?

Maria Dąbrowska odwiedziła nieodległe od Szafarni Płonne w dwudziestolecie i tak pisała w dzienniku: „Wieś i majątek Płonne rozłożone były na ślicznych wzgórzach, jedno z nich, porośnięte kilkusetletnimi modrzewiami chronione było jako zabytek... Nigdzie indziej (poza kresami wschodnimi) nie słyszałam tak często zbiorowego śpiewu przy powrocie od pracy albo na polu, grania z tańcami i śpiewami odbywały się niemal codziennie i we wsi, i w czworakach dworskich... czasami brała mnie pokusa, żeby kupić sobie w Płonnem grunt, zostać tam na resztę życia i ograniczyć się do snucia stamtąd tylko wątku mej pracy twórczej. Wystarczyłoby go na twórczość najbardziej płodnego i największej miary pisarza”.

A czego dziś można szukać i co odnaleźć tam właśnie, daleko od znaczących dróg, na ustroniu? Ginący, umierający już modrzew polski, kilkudziesięciometrowej wysokości, rosnący jeszcze na wzgórzach. Resztki parku krajobrazowego przy dawnym dworze, niebywałej potęgi i urody. Monstrancję, jedną z najpiękniejszych, jakie widziałem, z końca XVII w., z cechą miejską Torunia i imienną znanego złotnika Jana Hausena (Pierwszego), w źródłach wspomnianego do roku 1690. Wreszcie — epizod napoleoński.

Na wyniosłym obelisku przykościelnym napis: „Janowi Dziewanowskiemu, urodzonemu w Płonnem, synowi właściciela tych dóbr, kapitanowi gwardii cesarskiej francuskiej, bohaterowi spod Somo-Sier-

ra, rycerzowi bez trwogi i lęku. Cześć jego pamięci! — Pomnik ten w miejsce dawnego uległego rozbiciu postawili w roku 1925 Adolf Suligowski i Ludwik Łempicki, za prezydentury w Polsce Stanisława Wojciechowskiego i za rządów w Ministerstwie Spraw Wojskowych generała Władysława Sikorskiego”. Tamże zwięzły opis bitwy stoczony 30 listopada 1808 r. Raniono w niej Kozieltulskiego i wtedy dowództwo nad szwadronem szwoleżerów polskich objął Dziewanowski: „Podczas tej szarży połowa szwadronu poległa, przy czym w ostatniej chwili, już przy zdobytych armatach Dziewanowski padł ciężko ranny i w kilka dni potem życie zakończył”.

Przypomniano też na obelisku słowa Cesarza, które i wtedy, i potem miały smak goryczy: „Pour mes Polonais rien d'impossible”, i co na płótnie przejmująco wyraził Michałowski w słynnej *Bitwie pod Somosierrą*, owej polskiej spirali śmierci.

Do Radzik Dużych warto wpaść nie dla ruin zamku z XV i XVI w., nie dla dworu, ale dla splekanej od starości i poszarzałej w kolorze kopii obrazu Guido Reniego ukazującego ekstazę św. Filipa Neureusza. Kopię wykonano w 1. poł. XVIII w., a sprowadzono ją tu z Warszawy — albo za sprawą Przeciszewskich, albo też Franciszka Salezego Dmochowskiego, właściciela Radzik w XIX w.

Na koniec zajechać można w tej podróży do Osieka, przed drugą wojną posiadłości Heleny i Stanisława Sierakowskich, przez Sołtanów spowinowaconych z Zygmuntem Krasińskim. Ich działalność społeczna na Warmii i na Powiślu oraz w Związku Polaków w Niemczech spowodowała, że stali się ofiarami barbarzyństwa w 1939 r. Z Waplewa w ówczesnych Prusach Wschodnich pod Gdańskiem w 1933 r. część rękopisów autora *Nie-Boskiej* w swojej wędrowce ku ocaleniu zatrzymała się na krótko w Osieku, zanim wyruszyła w dalszą drogę. Opowiadają o tym do dziś ludzie i książki. W kościele osieckim znajduje się obraz Małej Św. Rodziny, zapewne szkoły flamandzkiej z początku XVII w. W zeszłym stuleciu istniało domniemanie autorstwa, które

przyprawia o zawrót głowy i którego bez drżenia i posądzenia o zuchwalstwo lub niekompetencję nie można by tu powtórzyć. Do dziś też, po latach, ze ścian kościółka spoglądają na świat z portretów kolatorzy tej świątyni, kasztelanowie słońscy, senatorowie Królestwa Polskiego: Marianna, Teodor, Anna Teodora, Helena i Kajetan Sierakowscy. Niezwykła jest ta galeria dobrego malarstwa, tu właśnie umieszczona.

Wracałem z moim towarzyszem podróży przez granice, przez wieki do punktu wyjścia, do stolicy Ziemi Michałowskiej. Najpierw, w Gorczenicy, był graniczny

strumyczek o nazwie Pissa i solidny ceglany budynek dziś mieszkalny, niegdyś, za zaborów, urzędowy. Wkrótce w obramowaniu drzew szosy ukazał się ogromny czerwony dach brodnickiej fary, a wnet potem — jej potężna, zwieńczona hełmem wieża. I nagle usłyszałem pół żartem, pół serio: — Bo u nas, w naszym regionie... Sukces? Być może. Ale ważniejsza jest świadomość, że można i trzeba się różnić, że różnią się ziemie i ludzie — ich mowa, myśli, postawy, dzieła — i że owe odrębności stanowią, drogą zapewne w przeszłości okupione, bogactwo dnia dzisiejszego.